



## Szkoła Amazonek

Najprzyjemniejsza z nauk, które przechodzą młode Angielki

Instruktorka konnej jazdy? Istnieje taki zawód? Otóż właśnie tak. W Anglii cała masa kobiet o biera ten właśnie zawód, otrzymując po zdaniu egzaminu państwowego tytuł „profesora konnej jazdy”. Do egzaminu przygotowuje „Szkoła Amazonek”.

Jak odbywają się „studia” opowiada w swoim reportażu jedna z uczennic szkoły.

### „NA WŁASNY UŻYTEK”

Jedziemy drogami przez hrabstwo Hertford, mijając malownicze miasteczko Ross-on-Wye. Drogi wiją się między polami o czerwonej ziemi i wśród zielonych łąk, po których płynnie spokojnie Wyc.

W tej tu pogodnej okolicy, we wsi o typowej angielskiej kulturze znajduje się szkoła amazonek — duży ceglany dom, obrosły piękną zielenią.

Przyjeżdżam w porze kolacji. Wchodzę, prowadzona przez żonę kierownika szkoły, na sale jadalną, jasną i długą. Wzdłuż białego stołu siedzi w tej chwili piętnastu uczennic. Biegnie ku mnie ich wesoły, beztroski śmiech i swobodne okrzyki. Gwar rozbawionych słów wita mnie i od razu ogarnia mnie panujący tu pogodny nastrój.

Usadowiwszy się przy stole, rozpoczynam rozmowę z moją sąsiadką, młodą obywatelką o niesmiałym spożeraniu.

Czy pani też przygotowuje się tutaj do egzaminu instruktorskiego? — pytam.

— Nie. Część nas przyjechała tu tylko na pewien czas, aby wprawdzie lepiej z konną jazdą i przygotować do brania udziału w polowaniach.

### RANKIEM...

Dwa głośne uderzenia w drzwi budzą nas. Jest siódma. Za chwilę głośnie intonuje „Broadway Melody”, ulubioną melodię współlokatorki mojego pokoju, jasnowłosej Szkotki.

Ociagam się ze wstawaniem. Mam jeszcze wielką ochotę trochę podzierać. Ale gdzie tam! Jeden za drugim dwa ranne pantofle, wycelowane w moją osobę z drugiego końca pokoju podrywają mnie z miejsca. Wysskakuje z łóżka i z „narzędziem walki” w rękę gonię po pokoju jasną Szkotkę.

„ZABIEGI KOSMETYCZNE”

W świętych humorach idziemy rozpocząć „studia”.

O 7.30 wszystkie przyszłe amazonki znajdują się już w „sali zajęć praktycznych” — w stajni.

Naprzód, razem! Przed nami stoi ruchliwy zespół „baletnic”, pełnych gracji, jakiej nie powstydziłaby się dziewczyna z Hollywoodu. Przypieczętuję, jakże zgrabne konie!

W rytmicznych poruszeniach ramion tym samym ciągle powtarzanym ruchem wykonujemy swoją pracę. Zwróciła bóg oporu poddają się wszystkim zabiegom kosmetycznym.

A więc naprzód czyszczenie i mycie skóry. A potem staranne polewa-

nie sierści — jedwabistej „sukni” konskiej. Wreszcie sprzątanie całej stajni, porządkowanie żłobów i zapór. Raz, dwa! Unoszą się w górę widy z jasnym brzemieniem słomy. Złociste żółbia rozspują się po ziemi. Pracują miotły. Śmukłe panny, uginając się pod ciężarem dźwigają wielkie kubły wody...

Przeglądam się moim koleżankom. Pochłonięte są pracą. Oddają jej się z zadowoleniem, z przejęciem, traktując ją narówni z wyczynami sportowymi. Mysłę z satysfakcją — młode Angielki potrafią w wysiłku fizycznym szukać radości życia. Czy dorównują im w tym dziewczęta innych krajów?

### NA KOMENDĘ

Po skończonej pracy czeka na nas śniadanie. Przy stole rozpoczyna się prawdziwy konkurs apetytów. Nikt tu nie dba o linie.

Synte i wesołe biegniemy osiadać konie. Zjawia się wreszcie „mistrz”. Staje wśród nas, otoczony półkołem roześmianych, młodych kobiet. Z pod kapelusza, wciśniętego na oczy widzą zaledwie mocno zarysowane usta i ostre podbródek. Samo zjawienie się „mistrza” elektryzuje już tłum amazonek, stają gotowe, nim padną słowa komendy.

Cisza... i rozkaz: do koni! Jeden za drugim pada rozkaz:

Truchtem! Galop! Zdwoić tempo! Obrót! Pół — obrót! Osadzić konia! Zmienić rekę!

Od czasu do czasu surowe słowa komendy rozchylają drobny iskrzący dośrodek złości.

Wygłąda pani, jak złamana lilijka — słyszy uwagę, rzuconą w swoją stronę jasnowłosej dziewczątce, żałosko pochylone nad szyć konia.

Panno Barbaro, czy pani polkę ta dziś deśkę na śniadanie?

Potem instruktor wyprowadza Puncia, konia debiutanta, znanego jawnicą: śmiegnięcie pejem, diabelski galop, dwa wierzgnięcia i nieszczęsna amazonka, której leniuchowi nie chciało się nosić, leży na ziemi.

Biedne słoniatko! — śmieją się inne, patrząc na zawstydzone i czerwone dziewczętko, dźwigające z ziemi swoje pulchne członki.

### PRZEZ PIOTKI...

W południe odpoczynek. A potem skoki. Na łące, zaopatrzonej we wszystkie potrzebne przeszkody: zagrozenia, plotki, bariery, rowy i góry.

Przedstawiamy Kalki, Tashy, Atrę, Henty, Tusze, Kleje.

FAKRYKA „SŁOŃCE” Spółka z o.o. WARSZAWA ul. LUDŃA 6-8 tel. 9-33-33 Zadać wczesdzie

W południe odpoczynek. A potem skoki. Na łące, zaopatrzonej we wszystkie potrzebne przeszkody: zagrozenia, plotki, bariery, rowy i góry.

ki rozpoczyna się najbardziej emocjonująca część dziennych „prac”.

Rona, odrzucając w górę swoją piękną głowę, zuchwałym galopem niesie mnie w stronę bariery. Skaczemy, ale dwa razy wyżej niż trzeba i wspaniały wyczyn kończy się moim „hanbiącym” upadkiem. Rona za to szczęśliwa i dumna ze swobody w dzikich podskokach przesadza rowy i ogrodzenia, śmigając między ludźmi z grzywą, rozwiną na wietrze.

Przed wieczorem odbywają się wykłady anatomii i chorób zwierząt. „Układamy” je wreszcie do snu, każda swojego wierzchowca i idziemy spać, zdrowym, mocnym, zasłużonym snem.

### ŁOWIECKI „CHRZEST”

Największą radością i zabawą, na którą oczekują z upragnieniem wszystkie „studentki” konnej szkoły — to polowanie na „kory” lub lisy.

Wszystcy przygotowują się z pieczołowitością. W przepisowych melonikach czekają niecierpliwie „myśliwe”. Konie, wyświeżone, ze splecionymi ogonami, nie mogą ustać na miejscu.

I wreszcie... dźwięk rogu, chór pieszy stary, wyciągnięty klus koni.

Od czasu do czasu kłósa z „zuchwałych” amazonek znajduje się pod bruchem koni, od czasu do czasu jakiś „świeży jeździec” pędzi w cwał... zgubiony strzemię. Ale wszystko głupek, nikt nie traci do brej miny!

A kiedy rudy lis legnie już nieruchomo planą na murawie, w triumfalnej ciszy odbywa się ostatnia ceremonia: „mistrz” dzieli go między zwycięskie „łowczynie” i czerwona krew zwierzęcia przyska w debiutanki, spełniając nad nimi obrzęd „chrztu” łowieckiego.

### W KSIĘŻYCOWĄ NOC...

Przypada na koniec moją kolejką nocnego dyżuru w stajni.

Światło księżycowe przesłania się przez drobne szybki, pada na lby zwierzęce. Szeleści cicho słoma na posłaniu, wokół czuć ciepły zapach koni. Stoją, gryząc resztki siana i rżemienie wędzida. Chwilami rozlega się rżenie tęskne, melancholijne...

Rona, po długim wysiłku uwalnia się wreszcie. Podchodzi do drzwi i gryzie kłamek. Zbliżam się do niej i przytulam do smukłej szyi zwierzęcia. Strzyże uszami i patrzy kątem oka. Rzy leciutko. Wiem, czego pragnie. Siodlam ją szybko i otwieram drzwi w jasną przestęszel.

Pozwalam jej biec w stronę, którą sama wybierze. Zapadamy w las. Szeleszczą trawy i gałęzie, poruszone w pędzie. W polu, po twardziej drodze dudni za nami echo, rozbudzone stukiem kopyt...

W powoście księżycowej spływają ku mnie romantyczne ballady. Czekam tylko, aż wynurzy się nagle z jasnej nocy Król Wierzb i zobaczę na łące roztańczone rusalki...

A Rona gna naprzód, szczęśliwa jak ja i jak ja swobodna...

Pani moda ma głos

## Pensjonarki idą do szkoły

Wrzesień to ciężki miesiąc dla pań domu: trzeba bowiem pomyśleć nie tylko o własnej jesiennej garderobie, ale także i o wyprawie pensjonarskiej córek, które idą do szkoły. A to tyle kosztuje pieniędzy...

Wiele matek nie potrafi sobie radzić w tym zakresie. Rodzice wpadają zazwyczaj z jednej ostateczności w drugą: albo sprawiają mnóstwo drogiej rzeczy, szyją pensjonarskie mundurki z kosztownych materiałów i kupują jedwabną bieliznę dla młodych dziewczynki zupełnie nieodpowiednią, albo też uważają, że „takiemu dziecku” nie potrzeba, że może chodzić w byle czym, w wytartej sukience, odziedziczonej po matce lub starszych siostrach,

bo jeszcze „ma czas, żeby się stroić”.

Wszelka przesada jest niedobra. Pamiętajmy, że dziewczynka idąc do szkoły, idzie między obcych ludzi, którzy ją obserwują i obcuje z rówieśniczkami, które także zwrócą uwagę na jej ubranie, jeśli będzie rażąco nieodpowiednie. Społeczność szkolna ma to do siebie, że wszelkie odrębności rażą i rzucają się od razu w oczy, dlatego też mamusi powinny pamiętać o zachowaniu umiaru: nie przeładowywać garderoby pensjonarki kosztownymi rzeczami, by nie budzić niepotrzebnej zazdrości koleżanek — i nie puszczать dziecka do szkoły w sukience wyćworowanej i wypłowiałej, by dziecko nie wzbudzało

przykrego dłań politowania.

Bielizna pensjonarki musi być skromna, najlepiej z nansuku lub cienkiego batystu, biała. Najlepiej kupić sztukę nansuku na całą pensjonarską wyprawę i poszyć od razu bieliznę osobistą i pościelową — prześcieradła i poszewki, bowiem to najtaniej wypadnie. Bielizna osobista fabryczna, przeważnie kolorowa i zdobiona strojnymi koronkami, dla 10 — 14-letnich dziewczynki jest nieodpowiednia — wygląda wyzywająco i jest niepraktyczna: plamy z atramentu na sukience nieraz prześlą na bieliznę i trudno je wywabić.

Koszulki dla młodszych dziewczynki najlepiej uszyć według fasonu empire — z półokrągłym wycięciem, ozdobić skromnymi angielskim haftem, merekami lub pikotkami, zrobiebnymi szydełkiem — można ostatecznie wyhaftować skromny kolorowy motyw np. różowe i błękitne drobne różyczki.

Koszulkę nocną można zastąpić skromną piżamą z różowej lub niebieskiej flaneli w zimie, a z batystu w drobne różyczki w lecie. Jeżeli dziewczynka nie mieszka w domu, lecz jest w szkole na internacie, najlepiej szyć bieliznę całkowicie białą.

Garderoba pensjonarki — to mundurek na co dzień z fartuszkami i strój „galowy” w postaci spódniczki z białą bluzką. Mundurki w przepisowym dla danej szkoły kolorze — granatowym, brązowym czy ciemno-zielonym uszyjemy z niedrogiej miękkiej welny — najmłodsze dziewczynki mogą chodzić w sukienkach z granatowego welwetu w prążki, który jest tani i świetnie się nosi.

Fartuchy szkolne szyje się przeważnie z alpaki lub satyny w dobrym gatunku (najlepiej francuskiej). Klasyczny fartuszek pensjonarki, t. zw. „krzyżak” z falbankami, wychodzi już z mody; praktyczniejszy jest fartuch-sukienka, zapinany z przodu na rząd guzików, z długimi rękawami. Fartuch przykrywa idealnie sukienkę i zapobiega niezręczności jej, zwłaszcza latem jest b. praktyczny, można bowiem nosić pod spodem jakąkolwiek leśnią sukienkę lub batystową jasną bluzeczkę. Spódniczka galowa najlepiej uszyć z szewiotu, który dobrze się układa w fałdy. Wreszcie uzupełnimy pensjonarską garderobę przynajmniej dwoma białymi bluzkami do prania z jedwabnego rypsu, piki lub lavable.

Alinette.

## Gospodyniom na ucho

### Pomidory faszerowane

Możemy podawać pomidory faszerowane w skórce lub bez niej. Dla zdjecia skórki pomidor, nadziany od strony łodygi na widelec, zanurzamy w kropie, potem w zimnej wodzie i skórkę łatwo potem usuwamy.

Po ściągnięciu wierzchołów wybieramy starannie pestki, starając się nie naruszyć przeziroczki. Solimy lekko, nakładamy farsz, po uprzednim lekkim osuszeniu ściereczką z soku, którego czasem za dużo jest przy duszeniu. Ustawiamy dość szczelnie w rondelku, zalać sosem i dusić 15 minut. Najlepiej podawać w tym samym naczyniu, w którym się dusiły.

Farsz. Wszelkie resztki mięsa, kaszki, ryż, grzybki nadają się doskonale na farsz. Do ryżu wystarczy dodać odrobinę mięsa (najlepiej wtróbkę), kawałek masła, dosolić, jeśli trzeba do smaku i nadziać pomidory. Można przygotować farsz z samych jajek na twardo, posiekanych z koperkiem. Można jeszcze przyrządzić farsz w następujący sposób: pół szklanki tartej bułki namoczyć kilku łyżkami mleka lub nawet wody, dodać dwa żółtka surowe, sól, łyżkę masła, łyżkę siekanego zielonego koperu, wymieszać, dodać pianę, nadziać pomidory.

Sos. Najprostszy z okrojonych resztek pomidorów. Zasmażać jak zwykłą mąkę z masłem, rozgotować pomidory, przeprasować, użytych gestaw plyn zaprawić zasmażką, a kto chce kilkana łyżkami śmietany, zalać pomidory, dusić.

Marcin Podemski

## Pierwszy słownikarz polski

Samuel Bogumił Linde, 1771 -- 1847

Słownik, gramatyka — już na sam dźwięk tych słów większość Czytelników wstrząśnie się z obrzydzeniem. — To takie nudne, martwe; to się na nich nie przyda; to nas wcale nie obchodzi!

Wspierają jeszcze takie poglądy mniej lub bardziej dawne wspomnienia szkolne: wykonywanie słówek łacińskich, trudności z consecutio temporum, liczne zatargi ze składnią języka francuskiego czy niemieckiego. Gdzieś, w zakamarkach mózgu, spoczywają, na wieki przytłoczone niepamięcią, terminy gramatyczne i stylistyczne: coniunctivus hortativus, enallage, hypallage, koniugacja, deklinacja...

A może jednak gramatyka nie zasługuje na taką nienawiść i pogardę, może przynajmniej czasem wartoby sobie o niej przypomnieć, zainteresować się tym czym o tym jej działem.

Bo językoznawstwo — więc i gramatyka i słownikarstwo — to jest nauka pulsująca życiem, ściśle związana z jego przejawami, obrazująca nieraz bieg historii, wiążąca się z filozofią i psychologią.

Inne narody nie odznaczają się takim wstrętem do tych zagadnień, a niektóre przejawiają nawet żywe nimi zainteresowanie, i to od czasów bardzo dawnych. Takim narodem są Francuzi, którzy już w wieku XVI — XVII posiadali wybitnych gramatyków (Malherbe, Vaugelas, rodzina Estienne'ów — że wymienię przodków). Każdy niemal Francuz interesuje się gramatyką, lubi się grzebać w swoim języku. Wiele dzienników i tygodników ma swoje kąciki językowe; wychodzi wiele

pism specjalnych. Stwierdził to narowe zamianowa raz jeszcze Henri Bergson pisząc w zbiorowej księdze, wydanej ku uczczeniu 300-lecia Akademii Francuskiej:

— We Francji nie przestano się nigdy pasjonować zagadnieniami gramatyki, słownictwa, ortografii. (Les Quarante: Trois siècles de l'Académie Française; Paris, 1935; p. 476).

W Polsce taki amatorzy są stosunkowo nieliczni. Jednym z pierwszych (po ks. Kopczyńskim) był Samuel Bogumił Linde, autor „Słownika Języka Polskiego”, wydanego w latach 1806 — 1814. Przygotowywał także Linde porównawczy słownik dialektów słowiańskich — tej pracy nie zdążył jednak ukończyć. Materiały przezeń zebrane wykorzystano przy drugim wydaniu Słownika. Właśnie to drugie wydanie leży przede mną:

— Słownik Języka Polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde. Wydanie drugie, poprawne i pomnożone. Staraniem i nakładem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich. Łwów, w drukarni Zakładu Ossolińskich, 1854 — 1861.

Sześć wielkich, opasłych tomów. Praca jednego człowieka. Człowieka, który poświęcił jej lepszą część swego życia. Zajrzymy do środka. Ot, weźmy takie pospolite słowo: czoło. Co też Linde o nim pisze na trzech dwuszpaltowych stronach?

Najpierw znaczenie fizyczne: „wydatna część przedniej głowy nad oczami, między skroniami”. I przykład: „J. Chodkiewicz czoła był wysokiego” (Birkowski: Chodk. 2).

Potem znaczenie moralne. Czoło

marszczyć czoło, czoło kwaśne, ponure, posępne, wypogodzone.

Siedlisko wstępu bądź nie-wstępu: na czele mieć pisane, nie mieć czoła, czoło miedziane; czoło — bezczelność: „po tak niegodnej akcji, jakim czołem śmiałyś się pokazać przed nią”. (Teatr Polsk.).

Znaczenie przenośne (czoło — „przód, wierzch, rzeczy fizyczne”): czoło budynku, czoło okrętu, czoło wojska („iż wszystkie były chwiei ku potykaniu, nie mogli się zgodzić o czoło pierwsze, kto się miał pierwszy potykać” — Bielski), stawić się czołem.

„Ze swoim na czoło (= popis), z cudzym do kąta, choć dobre” (Fredro).

Czoło = wybór, prym, okrasa: czoło trzody, partii.

Tego samego słowa używają i kucharze w znaczeniu „okrasa”, tłustość na wierzch się wzbijająca: „gdy się mięso gotuje, zbierają czoło, i w osobną rynkę składają na omastę innych potraw” (Oss. Wyr.).

Dalej zwroty: Czołem bić o ziemię, czołem za cześć (stare przysłowie). Wreszcie wyrazy pochodne: czołsko, czołmy, naczelnik, naczelny, bezczelnik („człowiek bez czoła, bez wstydu, który psu oczy przeda”), przyczółtek, wielkoczoł, czołysty, czołobarny (poet.), czołowy (= główny: „ulicę w ogrodzie czołowej i ulicę wezse”).

Podaje Linde wyrazy gwarowe, zestawia z 14 dialektami słowiańskimi (z czeskim, słowackim, morawskim, kroackim, dalmackim, bośniackim, raguzanskim, windyjskim, krain-

skim, sławońskim, niższym i wyższym sorabskim, rosyjskim i cerkiewnym — wg. własnej jego nomenklatury) i z niemieckim. Do każdego słowa — by lepiej objaśnić różne jego znaczenia — dziesiątki, setki przykładów, z całej literatury polskiej, od czasów najdawniejszych aż do Lindemu współczesnych.

Tak i to skromne słowo: czoło. Już w tych wyimkach, którym tu podaję, widać jakie bogactwo, jaką gęstość posiada język polski. Widać jakie koleje to słowo przechodziło a zyskiwało nowe znaczenia, traciło je, dawało źródło nowym słowom. Czyni słowo życia mieści się w tym jednym paragrafie słownika. A przecież Linde nie rozporządzał tymi środkami, które mają do dyspozycji dzisiejsi językoznawcy. Zajął się jednym tylko działem lingwistyki, ale dół dzieło, które po dziś dzień nie utraciło swej wartości. Bez wątpienia, są tam bledy, luki, ale po też — powtórzmy to raz jeszcze — Linde był pierwszym polskim leksykografem.

Życie Lindego, to życie człowieka nie po bibliotekach, ale mało efektywne. Więc tylko kilka dat: ur. w Toruniu 24.IV.1771 ze szwedzkiej rodziny protestanckiej (poprawnie wymowy polskiej nigdy się nie nauczył!); tamże skończył szkoły; uniwersytet w Lipsku; potem wykładał tam język i literaturę polską; prace w bibliotece Ossolińskich; od 1803 dyrektor Liceum w Warszawie; w 1804 poślubił p. Burger, po jej śmierci w 1823, żenił się powtórnie; 1806 — 14 wydaje Słownik; od 1817 wykłada psychologię empiryczną i gramatykę powszechną na świeżo założonym Uniwersytecie Warszawskim, którego jest pierwszym rektorem; od 1835 oddaje się wyłącznie pracy naukowej; umarł 8.VIII.1847. 90 lat temu zakończył swój pracowity żywot ten, który — w powołał masy czytających — sam ognisko polszczyzny, rozciągając przed ich oczyma najdrobniejsze odcienia językowe z kilku wieków. (August Bielowski: Przedmowa do II wydania Słownika).